

Konwój do Albanii

20 stycznia 2010

W Polsce prawie nie zdarzają się taki upały. W cieniu trzydzieści sześć stopni, no może trzydzieści pięć. W promieniu dwustu metrów praktycznie nie ma drzewa. Stoimy na betonowym nabrzeżu portu w Bari i czekamy na prom. Za nami niemal dwa tysiące kilometrów przez Europę. Przed nami cztery godziny czekania i osiem żeglugi przez Adriatyk.

Wokół tłoczą się Albańscy gastarbeiterzy. Tak jak my czekają w kolejce na prom do Durres. Każdy z nich wiezie kawałki swojego życia w postaci setek pakunków, które szczelnie, aż po dach wypełniają samochody na niemieckich „blachach”. Są przyjaźni i chętni do rozmowy, nikt z nas nie zna albańskiego, a po kilku latach w Niemczech większość z nich potrafi powiedzieć tylko „ja” i „gut”. Trochę to za mało do prowadzenia dialogu, choć z pomocą rąk można opowiedzieć sobie najprostsze historie. Po kilku godzinach kolejka rusza. Piekielny upał nabrzeża zmienia się w chłód klimatyzacji. Zostawiamy ją włączoną na noc i nad ranem budzimy się z katarem.

Wschodzi słońce. Po wyjściu na pokład dociera do nas, że znaleźliśmy się w Europie innej niż wszystko do tej pory. Dookoła pogiete, zardzewiałe wraki statków unoszących się na wodzie lub w połowie zanurzonych w portowym basenie. Z tyłu pierścień pięciopiętrowych bloków, spiętych górującym nad miastem białym minaretem meczetu. Entuzjazm wśród Albańczyków zgromadzonych na pokładzie sięga zenitu. Mogą już porozumieć się z krewnymi oczekującymi ich na zrujnowanym nabrzeżu. Okrzyki radości tną kurczącą się przestrzeń pomiędzy rufą statku a brzegiem.

Wrażenie, że czekający w porcie ludzie stoją niemal po kolana w śmieciach, już po kilku minutach przeradza się w pewność, że tak jest w rzeczywistości. Wkrótce zresztą sami brniemy przez zwały różnych odpadków przemieszczając się do magazynu

włoskiej akcji „Arcobaleno” w towarzystwie włoskiego leśnika. Ma na imię Vittorio i brązowe oczy, w których jest wszystko. Zmęczenie, radość, duma i zniechęcenie. Vittorio opowiada, że jest tu od trzech miesięcy, ma już dość i cieszy się, że za tydzień wraca do kraju. Wspomina o pożarach które gasi jako pilot helikoptera. Jak wszyscy Włosi ma pistolet na długiej taśmie u pasa. W kraju w którym z rządowych składów broni skradziono niemal milion kałasznikowów, nie dziwią takie środki bezpieczeństwa. Niemniej jest to pierwszy rozdźwięk pomiędzy idealizmem a rzeczywistością. Znika kiedy zauważamy albańskiego strażnika, który za pomocą kija odpędza włóczących się po nabrzeżu żebraków. Rozładunek darów które przywieźliśmy, trwa około trzech godzin. W pierwszej ciężarówce palety ze środkami czystości, śpiworami i kocami. W drugiej wołowina w puszkach. W trzeciej wszystkiego po trochu: śpiwory, artykuły sanitarne i ryż. Z ładowni statków nieopodał rozładowywane są worki z mąką. W kacie za magazynem miejscowi przesypują mąkę z worków do kartonowych pudełek i wywożą na rowerach z portu. Nikt ich nie zaczepia ani nie kontroluje. Port w zasadzie jest miejscem otwartym. Po zakończonym rozładunku odwiedzamy polski batalion stacjonujący w Durres. Żołnierze dają nam listy do wysłania. W ten sposób omijają wojskowego cenzora i mają większą pewność, że dotrą do adresata.

Wieczorem wysyłamy ciężarówki w drogę powrotną do kraju, zaś sami jedziemy na nocleg do obozu prowadzonego pod Tiraną przez polskich strażaków i lekarzy. Mimo późnej pory, przyjmują nas serdecznie i wkrótce zasiadamy do kolacji przy miejscowych przysmakach. Później zasiadamy i wszyscy zaczynają snuć opowieści. Gdzieś poza obozem słychać strzały. Barczysty Leszek uśmiecha się i opowiada o wymianie ciastek na granaty – w zamian za granaty dawali dzieciom ciastka. Nazbierali parę worków broni, po czym skończyły im się herbatniki... W opisach lekarzy, poziom zdrowotny i higieniczny przeciętnych Albańczyków, zbliżony jest do tego co obserwują w najbiedniejszych polskich wsiach. Rozmawiamy też o sposobach

skutecznej pomocy dla tego kraju i sposobach szybkiej reakcji na kryzysy w Europie i na świecie. Po północy strażacy opowiadają o wyjeździe do Kosowa, o wypalonych domach, pustce i zniszczeniach. Nagle noc okazuje się za krótka.

Rano budzi nas małeńkie kocię, które przygarnęli strażacy. A raczej, któremu uratowali życie, wyrywając go z rąk człowieka, który stukał jego głową o betonowe ogrodzenie. Starszy lekarz Marian woła nas, żebyśmy zobaczyli coś, czego jeszcze nie widzieliśmy. Podchodzimy do niego zaciekawieni, podążamy za jego wzrokiem i... przed namiotem stoi mężczyzna i macha zerwaną z drzewa witką. Doktor objaśnia nam niezwykłość widoku. Okazuje się iż przez dwa miesiące pobytu w obozie nie widział, aby człowiek ten robił cokolwiek, co nie byłoby leżeniem przed namiotem i popijaniem kawy. A tu nagle, stoi! macha witką! rozmawia z sąsiadem!. Doktor stwierdza, że najprawdopodobniej wyczerpie się na tyle, że przez następny tydzień nie będzie mógł ruszyć ręką ani nogą. Znowu kobiety będą nosić wiadra z wodą by zaparzyć kawę swojemu panu i władcy.

Po śniadaniu odwiedzamy ambasadę polską w Tiranie oraz polskich księży, którzy od kilku miesięcy zamieszkują w górach na wschód od Tirany. Misjonarze pokazują nam zrujnowane szkoły podstawowe w których na co dzień uczą się dzieci. Księża – jak większość ludzi przyjeżdżających z pomocą w zapalne punkty świata – mają poczucie misji i niesłychaną umiejętność zachowywania pogody ducha w trudnych sytuacjach. Budują dom dla tych, którzy nie mają po co lub do kogo wracać. Dla ludzi starych, którzy stracili wszystkich i wszystko. Wieczorem wracamy do portu. Po parogodzinym oczekiwaniu stoję na najwyższym pokładzie i oglądam niknące w wieczornej mgle albańskie wybrzeże. Twarze ludzi, których poznałem, przewijają się gdzieś tam pod powiekami. Zostawiam ich w tym kawałku Europy przekonany, że jest więcej ludzi, którzy nie obojętnieją, widząc nieszczęście innych.

Autor: Grzegorz Hajduk

Źródło: [„Pomagamy” nr 5](#)